

Piotr Dumin

Moje pragnienie I

Moje pragnienie dotykało próżni,
choć śledziłem obraz pełni,
gdy nie wiedziałem, czy dopełnisz
wyobrażenie – czy mnie z nim poróżnisz.

Bo jesteś kształtem sennego kamienia,
gdy płomień śpiewa w pierzynie pajęczej.
Kurczą się domy, kiedy wzbiera serce.

Tak świeci księżyc na pancerzu zbroi
– suchy trzask światła wśród stogów milczenia.
Miecz wojownika wyjdzie z przerażenia.
Nie ma go w polu, chociaż w polu stoi.
Pierś w pierś naciera. Gamma iskier cała.
Nadmiar nas spełnia, ale kształt – ocala.

Śpiew niosącego

Nie jestem życiem
choć istnieję
ideą ani zaprzeczeniem.

Idę krawędzią
wymijając
skończone kształty
obecności

Nieautentyczny
nawet w biegu
zatrzymuję się
wierzęgam lub uciekam

By znów spokojnie
kroczyć drogą
z Sancho Panchem na grzebiecie
zamiast Don Kichota

Przypowieść

Zdarzenia biegną szybciej
niż myśli o nich
Opada widnokrąg
i gniew rodzi psa
Ze ścian wychodzą zwierzęta
Znów łagodnie powietrze
i jesteśmy próżni
gdzieś tylko czeka
Twoja tęsknota

Słowa się rozpalają
w ten łagodny wieczór
i nawet śmierć jest nieprawdziwa

Nauczeni czasu
nigdy go nie zrozumiemy
Zmarszczki powietrza w przestrzeni
znów przeciw nam

Odpust

Płynę rzekę
jak przeszłość

zapach mięty i tataraku
W Zielone Świątki
i w odpust
Gdy wujek Smętek
w odświeżonej furmance
z miodem zza rzeki
A z pól lessowych spływały
pszeniczne dziewczęta

Płynę dolinę rzeki Kamiennej
z żółtym piaskiem plaży
z żoną weterynarza
co jak dorodny owoc
oddawała się naszym spojrzeniom

Tak jak ona szukaliśmy Raju
A Raj był to parów leśny
na którego zboczach
odbywał się rytuał spełnienia

Widownia sadowiła się
na przeciwległym zboczu
ukryta
w młodym sośniaku
Spektakl przerywany był czasem
śmiechem i gwizdami
bo jak wiadomo człowiek
to śmieszna istota
ni to bóg ni to zwierzę

A na rynku trwał odpust
Z winem patykami pisanym
szklaną wata
lodami
strzelnicami i karuzelą

Kręciliśmy ją
by móc się
bezpłatnie przejechać
pobujać
ponad miasteczkiem

Kręciliśmy
jak to miasteczko

jak świat co zawsze
próbuje nas zatrzymać

Krąg

Z przeszłością więc z sobą
obok
galopującej teraźniejszości
jakby było dokąd gonić
lub przed czym uciekać

patrzę w pole
z kapliczki nad wąwozem
gdzie święty Jan
z liliją w dłoni
w lipowym drewnie
wyrzeźbiony

Od pól snuje się
dym badyli
Dzwony barokowego kościoła
toczą odwieczne żale
pomiędzy lasem i wzgórzami

Turkocze w pamięci furmanka

na targ do miasteczka

Woznica z batem
bije nad polami

W dzień targowy pulsuje knajpa w rynku
lessowym nadmiarem

Upojony wolnością i wódką gospodarz
bije batem konia
i śpiewa

„Wozniak pije
Wozniak ma
Wozniakowi Pan Bóg da”

Teraz po asfaltowych drózkach
Snują się samochody
i wypełniają w odpust
jak żuki ścierwniki
rynek miasteczka
z miejscem
po naszym domu
jak po wybitym zębie

Nim się spostrzeżliśmy
skończył się nasz czas
i skończyło się miejsce

Nim zatoczyliśmy krąg
nie było dokąd powracać

A wyjeżdżaliśmy
pełni nadziei
z wiarą
że życie zaczyna się za widnokretem
że otworzy się przed nami przyszłość

Świat jednak nie był
tak sielski anielski
Nie czekał na nas

Szybko zrozumieliśmy
że nie jesteśmy konieczni
a nawet potrzebni
Że długa droga przed nami
i nie wiadomo
choć wiadomo
jaki będzie jej koniec

Coraz rzadziej spotykamy ludzi
w których możemy się odnaleźć

A tak długo wierzyliśmy
że zdążymy powrócić
ze Złotym Runem spełnienia

Oczekiwanie

Napierają
dziela nas
przedmioty
Istnienie zaczyna mieć sens
już tylko w innym istnieniu

Rozsypuje się krajobraz
wyostrza zmysły

Natura upomina się o siebie
jak dziecko krzyczy